GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 MAJA 1936 R.

Nr. 10 ROK VI

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 10

1936 R.

15 — V

12-V-1935

CZESŁAW BOBROWSKI

POLITYKA W OKRESIE POPRAWY

Potrzeba czynnej polityki kartelowej i troska o rozbudowę obrotów zagranicznych są równie niezbędne w okresie ożywienia gospodarczego, jak i w okresie depresji.

1.

Opinja publiczna nastawiona jest w tej chwili niemal wyłącznie na sprawę ożywienia życia gospodarczego, natychmiastowego, niezwłocznego ożywienia. Kwestja bezpośredniego, najbliższego efektu dominuje w ustosunkowaniu do wszystkich posunięć polityczno-gospodarczych. Nie należę do tych, którzy w tej pewnej niecierpliwości dopatrywać się chcą słabości nerwów. Przeciwnie, i z przyczyn gospodarczych i pozagospodarczych hasło pewnego *pośpiechu* w t. zw. aktywizowaniu polityki gospodarczej (co zresztą nie wyklucza *umiaru)*, wydaje mi się absolutnie słuszne. Nietylko słuszne, ale dojrzałe. Rzekome silne nerwy zbyt łatwo okazują się zatraceniem wrażliwości, zatraceniem zmysłu obserwacyjnego — niedostrzeganiem wskaźników, z których wnioski muszą być wyciągane. Bliższe uzasadnienie potrzeby tego pośpiechu uważam jednak za zbędne. W stosunku do lwiej części opinji byłoby to wybijaniem drzwi otwartych. W stosunku do mniejszej części, stojącej w dalszym ciągu niezłomnie na gruncie poglądu, iż raczej należy się pogodzić z opużnieniem poprawy, niż osiągnąć ją na drogach „niezdrowych", a więc w sposób rzekomo pozorny i nietrwały — próby przekonywania nie mogą już być dziś podejmowane w ramach dyskusji publicystycznej, gdzie obie strony wymieniły jeśli nie wszystkie, to przynajmniej najważniejsze argumenty. Kontynuować dyskusję warto byłoby już chyba tylko w innej zupełnie płaszczyźnie, w płaszczyźnie systematycznego, podbudowanego naukowo wywodu.

Zatem bez bliższego uzasadniania przyjmuję, iż polityka nasza zmierza, względnie w najbliższym czasie zmierzać będzie do ożywienia życia gospodarczego. Wywody, które mam zamiar przeprowadzić, dotyczyć będą zresztą w równej mierze ożywienia wywołanego w sposób, niesłusznie zwany „naturalnym", jak i ożywienia, wynikającego z t. zw. nakręcania konjunktury. Jeśli o owych tendencjach pośpiechu w poszukiwaniu ożywienia wspominam, to tylko dlatego, że to skądinąd słuszne nastawienie myślowe nie sprzyja (przez koncentrację uwagi na *jednym* problemie) zachowaniu w pamięci haseł słusznych bez względu na fazę i kierunek polityki konjunkturalnej, haseł, wykraczających swą doniosłością poza jedną fazę konjunktury.

2.

Czy hasło uporządkowania problemu kartelowego może być w okresie zwyżkującej konjunktury podtrzymane? Nietylko może, ale powinno. Oczywiście, że psychologicznie jest znacznie trudniej znaleść grunt dla takiego hasła w okresie, kiedy ciężar przerostów wyczuwany jest mniej boleśnie. Jasną jest rzeczą, że nasza polityka gospodarcza, nie mówiąc o szerszej opinji, uprzytomniła sobie wagę problemu kartelowego dopiero wtedy, gdy nożyce pomiędzy cenami wytworów gospodarki związanej i niezwiązanej ostro się rozwarły. Jasną jest rzeczą, że nastrój antykartelowy osłabnie wtedy, kiedy nożyce te się przymkną. Zwiększenie — pomimo wysokiego poziomu cen — rozmiarów zbytu w przemyśle skartelizowanym, wyższy stopień wykorzystania zdolności produkcyjnej w tym przemyśle, przysłonić mogą, jeśli nie muszą, potrzebę koncentracji.

Jest jednak rzeczą jak najbardziej oczywistą, że zmniejszenie doraźnej bolesności nie usuwa, niebezpieczeństw, tkwiących trwale i stale w zjawisku silnego skartelizowania naszego przemysłu, przedewszystkiem surowcowego. Następny okres depresji konjunkturalnej przypomniałby nam o tem dobitnie, jeśli w międzyczasie nie dokonamy wysiłków w kierunku uporządkowania sprawy. Skutki ujemne będą zresztą nawet i bliższe. Przebieg okresu ożywienia będzie odmienny w zależności od tego, jak postawimy i rozwiążemy zagadnienie kartelowe. W zależności od poziomu cen kartelowych ukształtują się rozmiary i rentowność procesów inwestycyjnych, w tym lub innym kierunku pójdzie rozwój gospodarczy. W zależności od stanowiska, jakie zajmiemy w sprawie koncentracji w przemyśle skartelizowanym, tak lub inaczej ukształtuje się geografja przemysłu i t. d. i t. d.

Jeśli pominąć, niezmiernie zresztą w tej sprawie doniosły, czynnik psychologiczny, stwierdzić należy, że okres ożywienia jest okresem najszczęśliwszym, najwłaściwszym dla rozwiązania szeregu problemów, związanych z gospodarką kartelową. Przedewszystkiem rozwiązywanie karteli jest—życiowo biorąc — łatwiejsze wtedy, kiedy w samym kartelu można wytworzyć tendencje odśrodkowe, kiedy dla przedsiębiorstw skartelizowanych perspektywa rozbicia i walki o rynek nie jest tak groźna, jak w okresie depresji. To samo dotyczy obniżenia cen.

2 a.

Obniżanie cen kartelowych jest zawsze zabiegiem trudnym nietylko zasadniczo, ale i technicznie. Zahamowanie zwyżki jest jednak technicznie łatwiejsze. Ale nietylko zahamowanie zwyżki. Przemysł skartelizowany jest z reguły przemysłem o kosztach stałych wysokich w stosunku do kosztów zmiennych. Jest zatem przemysłem, w którym bardzo jaskrawo występuje zjawisko wzrostu rentow-

ności przy zwiększaniu obrotu (caeteribus paribus). Nie mielibyśmy oczywiście eksportu dumpingowego, gdyby nie ta elementarna cecha przemysłów skartelizowanych. Dlatego też ograniczenie się w okresie poprawy konjunkturalnej do postulatu zahamowania zwyżki cen kartelowych byłoby równoznaczne z milczącem pogodzeniem się z faktem wzrostu renty kartelowej.

Oczywiście poza rozwiązaniem karteli najwłaściwszem „rozwiązaniem" byłoby prowadzenie polityki obniżania cen kartelowych, również w okresie poprawy. Czy można na to liczyć? Zależy to i od siły politycznej rządów, na które spadnie takie zadanie, i od sprawności aparatu „obrończego" przemysłu skartelizowanego. Zależeć będzie także od tego, czy potrafimy, względnie będziemy mogli wpływać realnie na ceny kartelowe poprzez politykę importową. Nieistotna w gruncie rzeczy, ale poważna praktycznie trudność leżeć będzie w pozornie słusznym wywodzie, iż pod damoklesowym mieczem stale grożącej obniżki cen przemysł skartelizowany nie będzie ani inwestował, ani nawet nie będzie zainteresowany we wzmożeniu produkcji. Pierwszą jaskółką, wskazującą prawdopodobną linję obrony przemysłu skartelizowanego, są publikowane ostatnio artykuły, zwracające uwagę na dewastację, jaka nastąpiła w urządzeniach przemysłu węglowego. Stąd jeden już tylko krok do uzasadnienia polityki wysokich cen potrzebami renowacyjnemi przemysłu.

Argumenty powyższe nie wydają się przekonywujące. Procesy inwestycyjne wynikają bowiem nietyle, czy nietylko z chęci zwiększenia zdolności produkcyjnej, co z dążenia do obniżki kosztów zmiennych. Jeśli chodzi o przemysł skartelizowany, to praktycznie biorąc najsilniejszym bodźcem inwestycyjnym jest chęć zapewnienia sobie zwiększonego udziału w kluczu kartelowym na wypadek jego rewizji, i t. d. i t. d. Jednak niezależnie od oceny tych argumentów, a zato trzeźwo patrząc na rzeczy — w świetle naszych i nie naszych doświadczeń — można mieć obawy, czy decyzje w zakresie cen kartelowych pójdą istotnie śmiało w kierunku obniżkowym. W tym wypadku pozostawałyby jeszcze inne możliwości wykorzystania faktu zwiększenia się rentowności karteli naskutek zwiększenia zbytu. Do możliwości takich zaliczyć można np. zastosowanie specjalnych quasi — eksportowych cen przy dostawach na prace inwestycyjne o znaczeniu państwowem, przy dostawach, posiadających charakter dodatkowy w stosunku do dotychczasowych zamówień. W naszych konkretnych warunkach można byłoby nawet pomyśleć o przyciągnięciu przemysłu ciężkiego do prac inwestycyjnych, posiadających znaczenie ogólne, a jednocześnie dogodnych dla samego przemysłu, jak np. usprawnienie komunikacji basenu węglowego, łącznie ze sprawą komunikacji wodnej.

Niewątpliwie również problem koncentracji może być z większą łatwością rozwiązywany w okresie ożywienia konjunkturalnego. Koncentracja à la longue — przez potanienie produkcji niewątpliwie prowadzi do zwiększenia zatrudnienia. Na bliski dystans i biorąc lokalnie, zwiększa doraźnie nasilenie bezrobocia w ośrodkach, gdzie koncentrację przeprowadzono. W okresie kryzysu trzeba byłoby wielkiej odwagi i planowania na bardzo szeroką metę, ażeby problem ten rozwiązać. W momencie poprawy konjunkturalnej staje się on automatycznie łatwiejszy. Łatwiejszy jest on też i od drugiej strony, t. zn. od strony inwestycyj, związanych z wszelką koncentracją. Tak czy inaczej przed olbrzymią częścią przemysłu skartelizowanego stoi problem renowacji urządzeń. Byłoby wielkim błędem, gdyby nowe nakłady na ten cel miały utrwalać wady strukturalne niektórych przemysłów, opancerzonych kartelowem związaniem.

Te szkicowe wywody nie mają na celu i nie mogą dziś jeszcze mieć na celu zarysowania konkretnych linij polityki kartelowej w fazie ożywienia konjunkturalnego. Cel ich jest prostszy: stwierdzenie, że właśnie w tej fazie szereg trudnych kiedy indziej pociągnięć może być wykonany i że tem samem problem kartelowy nie powinien zejść z listy zagadnień aktualnych w okresie prac nad poprawą gospodarczą.

3.

Okres kryzysu zniekształcił stosunek naszej opinji do zagadnień obrotu zagranicznego. Stworzona została ostra wrażliwość na kształtowanie się bilansu handlowego, eksport dosłużył się rangi cnoty czy zasługi, import stał się grzechem. Uzbroiliśmy się najpierw w wysoką taryfę celną i reglamentację towarową, a wreszcie ograniczenia dewizowe, połączone z generalnym zakazem przywozu. Nie była to akcja świadomego odcinania się od świata. Tendencje planowej autarkizacji ograniczają się u nas do sfer dosyć wąskich. O rozbudowie ograniczeń przywozowych zdecydowały dwa momenty: nasza polityka walutowa i błędne pojmowanie problemu uprzemysłowienia Polski. (Jeśli mówię o polityce walutowej, nie mam bynajmniej na myśli ostatnich zarządzeń ograniczających obrót dewizowy i towarowy; są one tylko wyciągnięciem ostatecznej konsekwencji z dawnej i przez kogo innego powziętej decyzji, t. zn. z odrzucenia w 1932 roku koncepcyj dewaluacyjnych, za któremi nie wypowiedział się wówczas w Polsce niestety prawie nikt, — nie wyłączając piszącego te słowa [1])). Zdecydowało to o dalszym biegu wypadków. Aktywne saldo bilansu handlowego stało się kategorycznym postulatem pod adresem polityki handlu zagranicznego, no, a najbardziej precyzyjne i udokumentowane cyframi wywody nie zdołają mnie przekonać, że aktywność bilansu handlowego zawdzięczamy wyłącznie naszym wysiłkom eksportowym. Protekcjonizm przemysłowy oddziałał na nasze stosunki wymienne z zagranicą w sposób niezmiernie silny, acz złożony. Szerokość wachlarza stawek celnych o charakterze ochronnym (stawek obniżonych częściowo w traktatach handlowych ale puasi — zwaloryzowanych przez wzrost siły nabywczej pieniądza) sprawiła, że nasz protekcjonizm przemysłowy istotnie zasługuje na nazwę uniwersalnego.

---

[1]) W ostatnich tygodniach kolosalnie wzrosła liczba „przewidujących" osób, które od trzech, czterech, pięciu lat „były za ograniczeniami dewizowemi i dewaluacją".

Stąd też wynikło, że hamujący wpływ protekcjonizmu w stosunku do importu był właściwie silniejszy aniżeliby to wynikało z rozmiaru nowych procesów wytwórczych, spowodowanych przez ochronę celną. Przeciwstawne działanie poszczególnych stawek ochronnych nie sprzyjało, zwłaszcza w okresie kryzysu, powstawaniu nowych gałęzi wytwórczości, natomiast wydatnie podniosło poziom cen przemysłowych, zmniejszając możliwości ekspansji eksportowej, a w konsekwencji redukując zdolność nabywczą rynku. Ponieważ zaś w dążeniu do zwiększenia udziału rolnictwa w dochodzie społecznym nie poszliśmy drogą usuwania czynników zakłócających ten podział, a więc np. drogą rewizji celnej, lecz przeciwnie, wybraliśmy raczej drogę neutralizowania tych czynników poprzez stwarzanie nowych przeciwstawnych elementów, pośrednim skutkiem protekcjonizmu celnego są właściwie również wszelkie ograniczenia w zakresie importu artykułów rolniczych, czynione w imię zwiększenia przychodów rolnictwa.

W okresie poprawy gospodarczej możnaby było w zasadzie oczekiwać pewnego zmniejszenia nacisku sfer zainteresowanych w kierunku ograniczenia przywozu. Nie wynika stąd jednak, ażeby sytuacja przedstawiać się miała różowo z punktu widzenia zwolennika rozszerzenia obrotów towarowych. Przedewszystkiem w pierwszej, najbliższej fazie musimy się liczyć ze stanem istniejącym na odcinku walutowym.

Bezwątpienia wszelka poprawa konjunkturalna jest równoznaczna ze statystycznem pogorszeniem bilansu handlowego. Bezwątpienia w warunkach przedwojennych to statystyczne pogorszenie nie było groźne, znajdowało bowiem automatyczną przeciwwagę w rozwoju kredytów towarowych. Przy jakich takich rezerwach kruszcowo-dewizowych można było tem łatwiej liczyć na napływ kredytów, że nie zachodziła potrzeba stosowania ograniczeń dewizowych, które rzecz prosta nigdy nie sprzyjają uzyskaniu nowych kredytów towarowych. W sytuacji Polski niezależnie od reglamentacji dewizowej sprawa ewentualnego zwiększenia się kredytów towarowych daleka jest do prostoty i jasności. Przedewszystkiem eliminując przywóz półfabrykatów na rzecz surowców niewątpliwie zmniejszyliśmy możliwość uzyskania kredytów. Po drugie chroniąc przez szereg lat skutecznie wypłacalność naszego Państwa i wolność dewizową nie mieliśmy możności zapewnić wypłacalności naszego życia gospodarczego. Nie jest pozbawione słuszności dowcipne zdanie, że to, co dostawca zagraniczny stracił na kredytach, udzielonych krajom, które dokonały dewaluacji, względnie wprowadziły ograniczenia dewizowe, ale osiągnęły wcześniej poprawę gospodarczą, zwiększając tem samem wypłacalność swych obywateli — może okazać się wielkością mniejszą od strat, poniesionych przez tegoż dostawcę w kraju wolności dewizowej i złotego parytetu, ale o spóźnionej poprawie i niskiej wypłacalności życia gospodarczego. W jakiej mierze zaciąży to na możliwości uzyskania nowych kredytów towarowych nie wiemy, ale że zaciąży, to pewne.

I wreszcie elementy polityczne, które w tej chwili „psują“ wszelki normalny rachunek gospodarczy. Jeśli twierdzę, że reglamentacja dewizowa nie ułatwia uzyskania nowych kredytów, to nie znaczy to, abym sądził,ażeby wolność dewizowa załatwiała sprawę. Natomiast przy wolności dewizowej znacznie dotkliwszy byłby drugi element, nie pozwalający nam narazie na passywny bilans handlowy—brak dostatecznego fonds de manoeuvre dewizowego.

W każdym bądź razie jeśli komuś nie zależy na podsycaniu w samym sobie przyjemnych złudzeń, to musi on liczyć się z nieuchronnością pewnych restrykcyj importowych, jeszcze przez niedający się bliżej przewidzieć okres. I to pomimo tego, że naturalną tendencją rozwojową fazy ożywienia jest zwiększenie importu przedewszystkiem surowcowego, że ograniczenie tego importu jest w pewnej mierze hamowaniem poprawy, a już conajmniej stwarzaniem dysproporcji pomiędzy ożywieniem produkcji, a podniesieniem stopy życia ludności. Co stąd wynika dla polityki w okresie ożywienia?

Wydaje się przedewszystkiem, że należałoby zabezpieczyć się przed linearnem mechanicznem redukowaniem importu. Najgorszą formą restrykcyj importowych byłoby urywanie po kilka czy kilkanaście procent zapotrzebowania z każdej pozycji taryfy celnej. Trudno w Polsce mówić o gospodarce namiastkowej na wielką skalę. Gospodarka taka nawet w skali niemieckiej nie wystarczyła dla załatwienia trudności importowych. Temniemniej w pewnej mierze jest ona możliwa do zastosowania. W każdym razie niewątpliwie lepsze są te ograniczenia, przy których istnieje możliwość zastąpienia importu, choćby droższym, choćby gorszym produktem krajowym, niż te, przy których tej możliwości niema. Pozatem skoro już stawiamy sobie pewne zadanie protekcjonistyczne, to wykorzystajmy system ograniczeń dla najpilniejszych, naważniejszych z tych zadań, niechże ten system obok swych przykrych stron ma przynajmniej jedną zaletę: odcinkowego, wychowawczego działania.

Oczywiście byłoby wysoce niebezpieczne gdyby ów moment wychowawczego protekcjonizmu miał się stać dodatkowym motywem dla kontynuowania ograniczeń towarowych poza okres i zakres nieuchronnej konieczności. Więcej nawet, wydaje mi się, że właśnie dlatego że z ograniczeniami musimy się liczyć, podwójnie aktualną staje się sprawa poziomu ochrony celnej. Nie pod kątem samego tylko ilościowego regulowania przywozu, ale pod kątem kształtowania poziomu cen. Zwyżka cen jest prawdopodobnie nieodłączna od wszelkiego procesu poprawy gospodarczej. Jest ona niewygodna z punktu widzenia wymiany z zagranicą. Nie podzielam poglądu, że z tego właśnie względu należy zwyżkę cen w Polsce za wszelką cenę opóźnić. Praktycznie musiałoby to prowadzić poprostu do opóźniania za wszelką cenę poprawy. Słusznym jest natomiast postulat, ażeby w okresie poprawy polityka gospodarcza w zbędny sposób nie podnosiła cen, ażeby raczej dążyła do poziomu możliwie zbliżonego do cen wywozowych. Elementarnym środkiem w tym kierunku jest zagadnienie taryfy celnej, zagadnienie tem aktualniejsze, że w okresie ożywienia sprawa niezachęcania poprzez ochronę celną do inwestycyj, nie mających trwałych warunków rentowności, nabiera znaczenia praktycznego, a nietylko teoretycznego, jak w okresie depresji.

I wreszcie ostatni problem, najtrudniejszy do ujęcia w krótkiej formie. Jeśli miałoby się okazać, — co z pewnością wykluczone nie jest, — że ograniczenia obrotu towarowego i dewizowego będą musiały potrwać jeszcze czas dłuższy, że rozwój sytuacji światowej nie następuje w takiem tempie, ażebyśmy mogli szybko usunąć stworzone barjery, to bodajże będziemy musieli stanąć wobec problemu wykorzystania państwa do nowych zadań na odcinku zagranicznego obrotu towarowego. Zadanie to—to mobilizacja kredytu towarowego przy współdziałaniu Państwa. Już w tej chwili przy systemie ograniczeń dewizowych Państwo w warunki płatności za towary importowane może ingerować, ale tylko w formie czysto negatywnej: to znaczy nie udzielając pozwolenia dewizowego. Niewątpliwie byłoby znacznie lepiej, gdyby Państwo dopomogło importerowi, względnie samo stworzyło dogodniejsze warunki regulacji. Czy to jest praktycznie wykonalne? Przykłady rozwiązywania tego zagadnienia istnieją.

4.

Czy uwagi na temat polityki w okresie ożywienia nie są przedwczesne dziś, kiedy oznaki ożywienia są słabe, kiedy wciąż jeszcze należymy do krajów wyraźnie spóźnionych w poprawie konjunkturalnej? Wydaje mi się, że właśnie dziś o tych sprawach mówić należy. Należy dlatego, że niepopularność hasła polityki deflacyjnej może rozciągnąć się i na te tendencje, które z polityką tą zrosły się w opinji, a które pozostaną słuszne nawet przy nakręcaniu konjunktury. Należy dlatego, że jedną z przyczyn niepowodzenia polityki deflacyjnej (niepowodzeniem tej polityki jest prowadzenie jej w jakikolwiek sposób inny niż szybko i — oczywiście nie dosłownie — jednorazowo), było to, że doktryna ta nie została dość wcześnie i dość powszechnie zrozumiana, co skazywało ją na ułamkowe i stopniowe realizowanie. Przysłowie „mądry Polak po szkodzie“ znajduje najlepszą chyba ilustrację w rozwoju naszej myśli polityczno-gospodarczej. I dlatego warunkiem niezbędnym dla pełnego wykorzystania przyszłej poprawy jest dostatecznie wczesne rozpoczęcie dyskusji na temat polityki w okresie poprawy.

HENRYK TENNENBAUM

ZACIĄGANIE KREDYTU DŁUGOTERMINOWEGO PRZEZ ZWIĄZKI PUBLICZNE

Związki publiczne, jak np. państwo i związki komunalne, uzyskują kredyt długoterminowy kilku sposobami. Mogą one bezpośrednio wśród publiczności rozmieszczać emitowane przez siebie obligacje, przyczem publiczność może je nabywać dobrowolnie, albo pod przymusem; w tym drugim wypadku mamy do czynienia z przymusem lokacyjnym; w Polsce przymus lokacyjny był zastosowany przy rozmieszczaniu Pożyczki Narodowej, a w stosunku do pewnych warstw i przy Pożyczce Inwestycyjnej. Związki publiczne mogą sprzedawać emitowane przez siebie obligacje instytucjom kredytowym, jak np. instytucjom oszczędnościowym i instytucjom ubezpieczeń społecznych; ustawodawca ustanawia, w jaki sposób powyższe instytucje powinny lokować swe środki, czyli ustala zasady państwowej polityki lokacyjnej. Nabywanie przez instytucje kredytowe papierów wartościowych jest niezmiernie ważnem zagadnieniem polityczno-gospodarczem.

Każda instytucja kredytowa, każdy bank ma zobowiązania w stosunku do swych wierzycieli i roszczenia do swych dłużników; pomiędzy roszczeniami a zobowiązaniami instytucyj powinna zachodzić pewna koordynacja, aby w wypadku zażądania przez wierzycieli należnych im od instytucji sum, instytucja mogła je ściągnąć od swych dłużników. W niektórych instytucjach powyższy stopień koordynacji osiąga poziom niemal doskonały; tak np. w towarzystwach kredytowych ziemskich terminy płatności rat są doskonale skoordynowane z terminami płatności kuponów od listów zastawnych. Naogół jednak spotyka się większy lub mniejszy stopień odchylenia od doskonałej koordynacji. Tak np. większość instytucyj kredytowych i banków przyjmuje wkłady i rachunki bieżące na krótkie terminy, podczas gdy kredyty przez nie udzielane są wydawane przeważnie na terminy zwykle paromiesięczne. Rzadko bowiem kredytobiorca może się zgodzić na zaciągnięcie kredytu, któryby instytucja kredytowa mogła mu wypowiedzieć w chwili dowolnej i zażądać natychmiastowego zwrotu. Taki kredyt rozwinął się stosunkowo w niewielkich rozmiarach w krajach o wysoko rozwiniętej strukturze kredytowej i nazwany jest „dziennym pieniądzem"; ale i w tych krajach instytucje kredytowe są w stanie w „dziennym pieniądzu" ulokować tylko nieznaczną część posiadanych rachunków bieżących.

W przypadkach zgłoszeń wkładców, banki kredytu krótkoterminowego zmuszone są do redyskontowania portfelu wekslowego w banku emisyjnym. Niemal wszystkie instytucje kredytowe mają nienadające się do redyskonta w banku emisyjnym zobowiązania dłużników i zwykle powyższe zobowiązania opiewają na terminy daleko dłuższe, niż kilkomiesięczne. Instytucje kredytowe i banki określają, według stosunku niektórych swych aktywów do swych krótkoterminowych zobowiązań, stopień swej płynności; tak np. Komisarjat Bankowy przy Ministerstwie Skarbu oblicza trzy stopnie płynności; przy pierwszym stopniu płynnności jako płynne aktywa traktuje się kasę, sumy do dyspozycji, kupony i waluty zagraniczne; przy drugim stopniu płynności do aktywów pierwszego

stopnia dodaje się inne aktywa i t. d. W gruncie rzeczy, działalność instytucji kredytowej doprowadzać musi do pewnej niepłynności, a wyprowadzane stopnie płynności są tylko wskaźnikiem niepłynności, immanentnie tkwiącej w istocie każdej instytucji kredytowej. Ustawy i obyczaj określają w różnych krajach dopuszczalny stopień niepłynności. Ustawodawca szwedzki, belgijski i amerykański wydał w celu zmniejszenia niepłynności banków kredytu krótkoterminowego przepisy, które krępują banki przy udzielaniu kredytów na dłuższe terminy.

Jeżeli ustawodawca i obyczaj starają się o to, by aktywa instytucyj, przyjmujących wkłady, miały charakter im odpowiadający, a zatem krótkoterminowy, w takim razie instytucje kredytowe i banki muszą być krępowane przy udzielaniu kredytobiorcom kredytu średnioterminowego i dłużej terminowego, a ponadto w krajach, w których, jak w Polsce, publiczność nie jest chętnym nabywcą papierów wartościowych i gdzie zatem instytucje kredytowe nie mogą się łatwo wyzbyć posiadanych papierów wartościowych, instytucje kredytowe i banki w wypadku prowadzenia takiej polityki, powinnyby być krępowane przy ich nabywaniu. Jak wiadomo, postulat zupełnej zgodności pomiędzy charakterem aktywów a pasywów nie daje się osiągnąć; polskie instytucje oszczędnościowe i instytucje ubezpieczeń społecznych lokują znaczną część swych środków w papierach wartościowych, wytwarzając w ten sposób, charakterystyczny dla stosunków polskich rynek sztywny papierów wartościowych; w Polsce, wobec małego bardzo rozwoju dobrowolnego rynku, rynek sztywny odgrywa rolę dominującą.

Nadmierne pielęgnowanie rynku sztywnego papierów wartościowych odchyla działalność instytucyj oszczędnościowych od normy, domagającej się odpowiedniości pomiędzy aktywami i pasywami, a w tej normie zawiera się przestroga przed jej gwałceniem. Trudno się jednak zdecydować za zaprzestanie pielęgnowania rynku sztywnego; wszak nie wiadomo, czy odsuwanie od instytucyj oszczędnościowych posiadaczy oszczędności przy pomocy obniżania procentu od wkładów, skłoni ich w krótkim przeciągu czasu do dobrowolnego nabywania papierów wartościowych. Wskutek tego Skarb Państwa musiał był, wobec wyczerpywania się chłonności rynku sztywnego, przy rozmieszczaniu Pożyczki Narodowej a po części i Pożyczki Inwestycyjnej, zastosować przymus ich nabywania, czyli przymus lokacyjny. Być może, że bony skarbowe, będące w gruncie rzeczy odmianą papieru wartościowego, będą mogły liczyć na większy popyt ze strony publiczności; ponieważ zwykle bony skarbowe w terminach ich płatności są odnawiane, można je pod pewnym względem traktować jako substytut długoterminowych papierów wartościowych. Nasuwa się nam w tej chwili dowcipna uwaga, ministra Wł. Grabskiego, że kredyt długoterminowy jest stopniowo spłacany, a krótkoterminowy — odnawiany.

Niekiedy Skarb Państwa i koncern państwowy odwołują się do pomocy instytucji emisyjnej przez zaciąganie do pewnej wysokości kredytu bezprocentowego, dalej w trybie dyskonta bonów skarbowych, a wreszcie redyskonta weksli finansowych wystawianych przez przedsiębiorstwa państwowe i monopole państwowe, a żyrowanych następnie przez banki państwowe; tak np. w sprawozdaniu Państwowego Banku Rolnego z r. 1933-go czytamy, że redyskonto na „akcje zlecone" wzrosło do 58 milj. zł.; ale w owym okresie, wstrzykiwane przez skarb i koncern państwowy do obrotu gospodarczego banknoty, były wchłaniane bądź przez rynek sztywny bądź bezpośrednio przez Skarb przy pomocy przymusowego rozmieszczania pożyczek państwowych; posługiwanie się temi zabiegami doprowadziło nawet do zmniejszenia obiegu banknotów, mimo to, iż Skarb i koncern państwowy korzystał z pomocy instytucji emisyjnej; widzieliśmy więc, że za czasów min. Zawadzkiego wzrosło zadłużenie Skarbu, wzrósł stan wkładów, a obieg banknotów spadł. Ten sam zabieg był też stosowany w państwach wojujących w czasie wojny światowej; rządy wciąż korzystały z pomocy instytucji emisyjnej, lecz ciągłe erupcje banknotów były wchłaniane przez nabywane przez publiczność obligacje pożyczek wojennych i przez rynek sztywny. Stosowanie takich zabiegów wymaga zarówno w czasie wojny jak i w czasie pokoju, bądź atmosfery zaufania politycznego, bądź wrazie jego braku — przymusu.

Jeżeliby rząd podjął na większą skalę roboty inwestycyjne, lub skłonił do nich związki komunalne, należy baczyć na to, aby wzrost obiegu banknotów odpowiadał wzrostowi krótkoterminowych obrotów gospodarczych; w ostatniej dekadzie kwietniowej obieg banknotów wzrósł o 68 milj. zł.; gdyby Skarb Państwa korzystał z pomocy banku emisyjnego na cele pozabudżetowe, celowem i wskazanem stać się może zastosowanie metod powrotnego ściągania banknotów przy pomocy wyżej wyłożonych sposobów.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

NAUKI OSTATNIEJ WOJNY

Wojna włosko-abisyńska jest ważnym w dziejach nowoczesnych przykładem „awansu społecznego“ jednego narodu i dowodem niemożności utrzymywania skostniałych i zacofanych form ustrojowych — drugiego.

O wojnie włosko-abisyńskiej pisze się już i będzie się pisało w przyszłości bardzo wiele. Juryści międzynarodowi znajdą w niej wdzięczny temat do rozstrząsań nad wojną, „która nie była wojną“, nad zaborem kraju, który zasiadał w Lidze Narodów, nad zmianami, które należy wobec tego przeprowadzić w statucie Ligi i t. d. i t. d. Wojskowi znajdą w niej kopalnię doświadczeń — zwłaszcza co do skuteczności działań lotnictwa i wojsk zmotoryzowanych. Politycy dociekać będą zmian, jakie wojna ta wywołała w zakresie wpływów na morzu Śródziemnem, na drodze do Indyj, na Brennerze — i w Afryce. Tematów, jak widać, jest dość.

Cóż o tej wojnie powinien powiedzieć ekonomista, albo — lepiej jeszcze — polski ekonomista, któryby chciał zeń wyciągnąć wnioski „ad usum“ własnego podwórka?...

Stwierdzi on, iż wojna światowa, Liga Narodów, nowy układ sił w Europie i na całym świecie nie zmieniły (bo zresztą nie zamierzały zmieniać...) stanu rzeczy, w którym istnieją narody eksploatujące i eksploatowane. Stwierdzi zatem, iż droga do wielkości narodu, do jego zamożności, do odgrywania przezeń na świecie roli kraju „aux interets illimites“ — jak to lubią powtarzać częstokroć t. zw. wielkie mocarstwa — idzie tak jak szła poprzez podbój słabszych. Ale będzie miał jednocześnie świadomość, iż jesteśmy obecni w tej chwili przy *pierwszym w XX-em stuleciu* przykładzie awansu mocarstwa, powiedzielibyśmy „drugiej klasy“ — na mocarstwo wpełni znaczenia tego słowa.

Przeprowadzenie przez Włochy podboju i aneksji Abisynji wbrew wyraźnej woli Wielkiej Brytanji i wbrew manifestacji sankcyjnej 52-ch państw oznacza coś więcej niż powodzenie polityczne i wojskowe. Oznacza to, iż po raz pierwszy znane i zapomniane już powiedzenie: „Italia fara da se“ (odpowiadające wówczas, kiedy się zrodziło, analogicznym powiedzeniom o „mocarstwowości“ pewnych młodych państw w chwili obecnej...) uzyskało swój sens istotny. Włochy naprawdę — zaawansowały w hjerarchji krajów świata. Posłuży to niewątpliwie w przyszłości dla zapewnienia ich obywatelom większego dobrobytu materjalnego — dobrobytu, którego nigdy nie mieli zbyt wiele.

Albowiem kraj, który przecisnął się niejako, do „pierwszego rzędu“ krajów europejskich, jest krajem ubogim w surowce, bogatym w ludność, krajem o niedawno stosunkowo stworzonym i niezbyt wielkim kapitale, krajem, który czterdzieści lat temu miał dochód społeczny na głowę zaledwie półtora raza większy od tegoż dochodu w Rosji, dwa i pół razy mniejszy od dochodu na głowę w Anglji i przeszło dwa razy mniejszy od dochodu takiego we Francji. Kraj ten, posiadający z Polską bardzo wiele analogij gospodarczych (nadmiar ludności, trudny problem rolny i t. d. i t. d.), gdzie plusy gospodarcze, wynikające z klimatu i historji (turystyka...), równoważone są w stosunku do nas zupełnym nieomal brakiem podstawowych surowców, które my przecież w pewnej mierze posiadamy, potrafił przecież żmudną drogę tej hjerarchji mocarstwowej—aż do pierwszego jej rzędu — przejść. Jakżeż tego dokonał?...

Niewątpliwie start miał o wiele lżejszy od nas. Nietylko dlatego, że stosunki kapitałowe, handel zagraniczny (wybrzeża), wreszcie położenie geograficzne miał od nas dogodniejsze. Ale i dlatego, że początki rozwoju gospodarczego zjednoczonych Włoch przypadają na ostatnie ćwierćwiecze ubiegłego stulecia, a więc na okres stosunkowo bardzo korzystnej konjunktury. Czy jednak konjunktura została przez Włochy w zupełności wyzyskana? Jeśli weźmiemy dane szacunkowe dochodu społecznego z przed wojny i porównamy je z danemi z przed lat czterdziestu, to okaże się wprawdzie, iż we Włoszech dochód społeczny na głowę wzrósł o ok. 65% w ciągu ostatniego dwudziestolecia przed wojną, ale ciągle pozostawał jeszcze bardzo daleko wtyle za dochodem krajów „bogatych“. Wiemy zresztą ze wspomnień naszej wczesnej młodości, iż t. zw. opinja międzynarodowa nie była dla rozwoju gospodarczego tego kraju pochlebna. Opinja ta — jak zawsze — tworzyła sui generis legendy, w których element szacunku nie odgrywał zbyt wiele miejsca. Dla krajów „szanujących się”, dla wielkich mocarstw, ale i dla krajów skandynawskich czy Holandji Włochy były zawsze synonimem „lazzarone“, śpiewaka podwórzowego czy tego rodzaju innej „profesji“. Nieudana wojna kolonjalna na schyłku ub. stulecia rozpowszechniła — wbrew ponoć istotnym walorom żołnierza włoskiego — famę o słabości armji włoskiej. Przed wojną Włochy odgrywały już w stosunkach międzynarodowych rolę „mocarstwa“ — ale nie było to napewno mocarstwo „pierwszej klasy“.

Czem należy to tłomaczyć — i czem należy wyjaśnić zmianę, jaka zapanowała w tym kraju od lat czternastu? Wydaje nam się, że przyczyn trzeba szukać *w zaprzestaniu stosowania do rozwijającej się dopiero młodej gospodarki włoskiej systemów polityczno - gospodarczych skopjowanych z dziejów rozwojowych krajów „starszych“* w Europie zachodniej. Poprostu — zmodernizowano włoską politykę gospodarczą (w najszerszem słowa tego znaczeniu) i dostosowano do wymagań terenu włoskiego — opóźnionego w rozwoju w stosunku do Europy zachodniej. Rezultaty nie dały na siebie czekać.

Nie zamierzamy na tem miejscu przeprowadzać żadnych bardziej szczegółowych analiz czy dociekań.

Chodzi nam o uchwycenie tylko zasadniczych linij rozwojowych w dziejach Włoch. Terminologja faszyzmu włoskiego używa dla określenia historji ostatnich czternastu lat tych dziejów wyrażenia: „era“. Wydaje się nam, iż wyrażenie to jest słuszne. I wcale nie dlatego, aby piszący te słowa miał poczuwać się do jakiegokolwiek wyznawania teoryj faszystowskich jako takich. Poprostu wydaje nam się, że erą w życiu każdego narodu jest okres jego rozwoju po pewnych określonych i niezmiennych torach zasadniczych. Z chwilą zmiany tych torów era się kończy. Dla Włoch skończyła się ona nie z chwilą odzyskania niepodległości politycznej — i nie z chwilą wyjścia zwycięsko z wojny światowej. Skończyła się dopiero później. Okazuje się, że „era“ nie pokrywa się z faktami politycznemi o największem nawet znaczeniu. Nie jest to bez znaczenia i dla innych...

Faszyzm rozwiązał na swój sposób — i na sposób widocznie właściwy — problem gospodarczy i społeczny Włoch o tyle przynajmniej, o ile rebus sic stantibus t. j. bez rozszerzenia bazy wyjściowej mógł tego dokonać. Rozwiązał go niewątpliwie po linji wzmożenia w szybszem tempie dochodu społecznego przez przeprowadzenie korektur w jego podziale. Odrzucił a priori wszelki liberalizm w formach rozwoju gospodarczego i politycznego. Wola ludzka poczęła tworzyć pewne fakty gospodarcze w myśl pewnych zgóry określonych zamierzeń. I znów nie przesądzamy, czy przypadkiem rządy komunistyczne we Włoszech nie osiągnęłyby może lepszych jeszcze rezultatów. Nie chodzi nam o apologję faszyzmu ale o apologję systemu polityczno-gospodarczego w oderwaniu od jego treści.

Wojna włosko-abisyńska była próbą ogniową tego systemu. Próba wypadła nadspodziewanie korzystnie. Osobiście uważaliśmy, iż sytuacja końcowa będzie właśnie taka, ale nie przewidywaliśmy, iż stanie się to tak szybko. I z tej najnowszej historji wypływają dla nas również pewne nauki.

Okazuje się, iż hjerarchja celów gospodarczo-politycznych dopuszcza w wyjątkowych wypadkach poczynania, któreby właściwie z gospodarczego ściśle punktu widzenia należało jaknajostrzej skrytykować. Chodzi tylko o to, *poco* się to robi. Jeśli kraj pozbawiony surowców puszcza się w obliczu sankcyj gospodarczych otaczającego go świata na conajmniej bardzo kosztowną jeśli wogóle nie wątpliwą w wyniku akcję kolonjalną, to cel, który mu przyświeca, musi być istotnie tak wielki, aby opłacało się dlań ponieść te wszystkie obciążenia, jakie wojna w tych warunkach nakłada. Prasa całego świata (a prasa polska — za inną...) rozpisywała się i rozpisuje na temat „ruiny“ finansowej Włoch. Jeśli nawet wiadomość ta jest prawdziwa bez zastrzeżeń, należy stwierdzić, iż czasem „opłaca się“ dokonać takiej niegospodarczej akcji — dla dalszej „prosperity“ w szerszem znaczeniu tego słowa. Rewolucja bolszewicka była też ruiną, ale obecnie nikt nie zaprzeczy, iż sowiecka produkcja znacznie przewyższa poziom przedwojennej produkcji rosyjskiej i ten, do jakiegoby ewentualnie produkcja ta dotrzeć mogła, gdyby wstrząsu tego nie było. Poczekajmy na rezultaty gospodarcze kampanji abisyńskiej trochę dłużej. Chwilowo faktem jest, iż lir jest wprawdzie „zepsuty" ale nie załamany — i że z ożywienia gospodarczego, jakie obecnie na świecie następuje, Włochy po zniesieniu czy wykruszeniu się sankcyj będą mogły wyciągnąć znaczne korzyści. Ale, gdyby nawet lir się załamał całkowicie, kto wie, czy za tę cenę stworzenie wielkiego imperjum kolonjalnego by się na dłuższą metę nie opłaciło?...

A Abisynja? Nie możemy — niestety — iść śladem tych obserwatorów, którzy zapatrzeni w bliską nam przeszłość traktują to zagadnienie z czysto emocjonalnej natury. Staramy się na tem miejscu patrzeć zawsze—*w przyszłość*, a więc żadnych analogij dość zresztą dla nas kłopotliwych nie dopuszczamy. Musimy rozumować sine ira, że tragedja Abisynji jest tylko i wyłącznie przez nią samą zawiniona, że nie znalazły się w kraju tym, niestety, żadne siły, któreby oddziałały w ciągu ostatnich stu lat tak, jak oddziałały one — powiedzmy — w Japonji, gdy na jej wodach pokazała się eskadra Perry‘ego, że, słowem, sam tylko nacjonalizm i ksenofobia jeszcze nie wystarcza, aby utrzymać niezależność kraju. Istnieje w pewnych przełomowych dla każdego kraju warunkach (dla Abisynji warunkami temi był fakt rozpoczęcia ekspansji kolonjalnej Europy na Afrykę przed stu laty) pewna *odpowiedzialność*, której kraj musi sprostać, o ile chce pozostać prawdziwie niezawisłym. Japonja potrafiła — Abisynja nie umiała.

Nie pomogą tu — i pomóc nie mogą — żadne ubolewania na temat przewagi „siły nad prawem“. Istnieje pewne minimum wysiłku, które każdy naród musi wykonać, aby stał się podmiotem prawa nie de nomine ale de facto. Logika dziejów uczy nas tego na każdym kroku. W Polsce, gdzie sentymentalizm polityczny i gospodarczy jest szczególnie silny należałoby uczyć się tego w dwójnasób.

Co rozumiemy przez owo „minimum“ wysiłku? Zmienia się ono w zależności od sytuacji objektywnej danego narodu. Nikt nie może żądać od Danji, aby jej siła zbrojna mogła dorównać, powiedzmy, sile zbrojnej Niemiec. Ale Danja „ma miejsce pod słońcem“ w gronie narodów — i bez siły zbrojnej jest miejsca tego pewna. Nie chodzi o to, aby Polska stała się jednym arsenałem. Ale musi być — militarnie i gospodarczo — przynajmniej na poziomie. Nasza odpowiedzialność jest inna niż Danji czy Szwecji i inna niż Abisynji. Ale chwila przełomowa u nas trwa. I — czy to nam jest mniej czy więcej wygodne — odpowiedzialności tej sprostać musimy.

UWAGI

PRZEDWCZESNE KŁOPOTY

W dyskusji nad zagadnieniem etatyzmu nie można oczywiście pomijać działalności państwowego aparaty kredytowego, zwłaszcza gdy aparat ten jest rozbudowany na szeroką skalę i posiada dominujące znaczenie na rynku kredytowym. Na tę stronę zagadnienia zwraca uwagę opinji publicznej oddawna prof. Tennenbaum w szeregu prac i artykułów, rozpatrując rolę publicznych instytucyj kredytowych w Polsce z punktu widzenia strukturalnych potrzeb i niedomagań naszego organizmu gospodarczego. Znamiona tego samego punktu widzenia nosi również ostatni artykuł prof. Tennenbauma p. t. „Zmiana roli P. K. O. w świetle zapowiedzi programowych ministra skarbu", zamieszczony w nrze 9 „Gospodarki Narodowej" z dn. 1 maja b. r. Artykułowi temu pragniemy poświęcić tu bliższą uwagę z dwu powodów. Po pierwsze Autor poruszył w nim problem niezmiernie wielkiej wagi, problem nad którym nie można przejść do porządku dziennego; podrugie — uwagi Autora nie wydają się nam całkowicie przekonywujące i trafne.

Myślą przewodnią artykułu Sz. Autora jest pogląd, że państwo powinno stopniowo zarzucać politykę koncentrowania wkładów oszczędnościowych w P. K. O., a starać się wkłady te skierować do lokalnych instytucyj t. j. do k. k. o., spółdzielni kredytowych, kas gminnych i t. p. Następujące argumenty — zdaniem prof. Tennenbauma przemawiają za tem:

1) P. K. O., koncentrując gros wkładów oszczędnościowych w kraju, może finansować niemi bądź potrzeby Skarbu Państwa, bądź potrzeby prywatnego życia gospodarczego. Pierwsza możliwość jest bardzo korzystna dla Skarbu, ale niekorzystna dla prywatnego życia gospodarczego: Skarb, mając pod ręką tak duże źródło kredytu, chętnie z niego korzysta, nie kwapiąc się do czynienia niezbędnych oszczędności w wydatkach, zaś prywatne gospodarstwo pozbawione jest w ten sposób jednego z poważnych źródeł kredytu. Gdyby zaś zaszła druga ewentualność, t. j. gdyby Skarb przestał zaciągać kredyt w P. K. O., to instytucja ta musiałaby udzielać kredytów na potrzeby komunalne lub prywatne bądź za pośrednictwem banków państwowych, bądź sama bezpośrednio: w pierwszym wypadku ten kredyt pośredni byłby za drogi, — droższy niż w wypadku, gdyby go udzielały ze swoich funduszów instytucje lokalne, — w drugim zaś P. K. O. stałaby się czynną instytucją kredytową, co stworzyłoby chaos w podziale czynności państwowych instytucyj kredytowych, chaos bardzo niepożądany.

2) Zbytnia koncentracja wkładów w jednej instytucji nie jest bezpieczna na wypadek niepokoju wśród wkładców: atak wkładców do tysiąca lokalnych instytucyj jest mniej niebezpieczny dla rynku kredytowego, niż atak na jedną potężną instytucję.

Jak widzimy, prof. Tennenbaum poruszył tu kapitalny problem podziału funkcyj między wielkimi „mamutami kredytu" a małemi, lokalnemi instytucjami kredytowemi, które mają najbardziej bezpośredni kontakt z warsztatami produkcji i obrotu gospodarczego. Centralizacja czy decentralizacja kredytu— to problem zresztą nietylko polski; również w wysoko uprzemysłowionych krajach Europy problem ten stał się aktualny w związku z monopolizacją kredytu przez wielkie banki, drenujące prowincjonalne ośrodki z kapitałów. Sądzimy jednak, że Sz. Autor nie przedstawił problemu tego na właściwej płaszczyźnie wzgl. płaszczyznę tę zanadto zwęził, przez co siła argumentacji straciła na wadze. Zwróćmy przedewszystkiem uwagę, że Autor pisze o kredycie w ogólności, nie przeprowadzając rozróżnienia między kredytem długoterminowym i krótkoterminowym. To rozróżnienie jest bardzo ważne w omawianej kwestji. Kredyt długoterminowy jest instrumentem finansowania inwestycyj, krótkoterminowy — obrotów. Rola takiej instytucji w Polsce jak P. K. O. polega właśnie na tem, że P. K. O. jest zdolna przetwarzać większą część wkładów swoich na kredyt długoterminowy, którego bardzo potrzebujemy. Tej zdolności w takich rozmiarach nie mają i nie będą miały lokalne instytucje oszczędnościowe, gdyż właśnie ze względu na swój lokalny charakter narażone są na większe ryzyko, co zmusza je do utrzymywania wysokiego pogotowia kasowego i dużej płynności swych aktywów. Lokalne instytucje mogą być — i są — głównie instytucjami kredytu krótkoterminowego, podczas gdy P. K. O., ze względu na masę i strukturę swoich wkładów, może sobie pozwolić na to, by stać się jedną z central finansujących kredyt długoterminowy.

Oczywiście, gdy ten moment uwzględnimy, nie potrzebujemy obawiać się, że P. K. O. zmieni swój charakter i będzie musiała rozpocząć czynną działalność kredytową. Z całym spokojem możemy przyjąć, że gromadzone w P. K. O. oszczędności będą obrócone na zakup listów zastawnych wzgl. obligacyj banków i towarzystw kredytowych. Skoncentrowany zbyt tych papierów wpłynie niewątpliwie na poprawę ich kursów, a kredyt w tej formie wzmoże prywatny ruch inwestycyjny bez potrzeby zmiany charakteru P. K. O. i stwarzania tą drogą konkurencji dla banków państwowych i prywatnych.

Nie wydaje się nam również słusznym zarzut, że kredyt udzielany przez P. K. O. prywatnemu życiu gospodarczemu za pośrednictwem banków państwowych byłby droższy i mniej „gospodarczy", niż gdyby kredytu udzielały lokalne instytucje z wkładów przez siebie gromadzonych. Możnaby się ewentualnie z tą tezą zgodzić, gdyby chodziło o kredyty krótkoterminowe: w tym wypadku jednak chodzi o długoterminowy kredyt, który w wielkich instytucjach jest i będzie tańszy, niż w lokalnych instytucjach, nieopierających swej działalności na emisji listów zastawnych wzgl. obligacyj.

Gdyby było inaczej, musielibyśmy zanegować wogóle współczesny postęp w dziedzinie organizacji kredytu, to znaczy zakwestjonować celowość koncentracji aparatu kredytowego, która właśnie przyczyniła się w ostatniem stuleciu do ogromnego obniżenia ceny kredytu na świecie. Koncentracja kredytu prowadzi do zniżki stopy, dekoncentracja — do zwyżki: poucza nas o tem prosta kalkulacja kosztów. Jeżeli nawet zbytnia koncentracja kredytu daje pewne niedomogi, to wyrządziłoby się gospodarstwu narodowemu prawdziwie niedźwiedzią przysługę, gdyby się

chciało ją usunąć przez dekoncentrację i rozbijanie wielkich instytucyj.

Pozatem niewiadomo, tego prof. Tennenbaum nie podaje w swym artykule, jakim sposobem skłonić można oszczędzającego, czyteż wskazać mu, gdzie ma lokować swoje kapitały. Najprostszą drogą byłoby tu zróżniczkowanie stopy płaconej od wkładów na niekorzyść P. K. O. Otóż to zróżniczkowanie już istnieje od kilku lat, a mimo to wkłady nadal płyną do P. K. O. z powodów, które nam wszystkim są dobrze znane. Z tychże samych powodów bylibyśmy przeciwni dalszemu pogłębianiu różnicy oprocentowania, bo przy takiej polityce może się snadnie zdarzyć, że oszczędności, zamiast płynąć do instytucyj oszczędnościowych, będą tezauryzowane. W dzisiejszej sytuacji dobrze jest, że wogóle wkłady przypływają do jakiejś instytucji: dziś byłoby rzeczą niemądrą pozbawić ludzi zaufania do jednej instytucji, nie mając żadnej pewności, że dzięki temu wzrośnie zaufanie do innych instytucyj. Nie pora nad temi sprawami wogóle dyskutować.

Ostatni wreszcie argument prof. Tennenbauma, dotyczący bezpieczeństwa koncentracji wkładów w jednej instytucji, przeczy rzeczywistości, gdyż ta wykazuje, że jedna wielka instytucja łatwiej może opanować run wkładców, niż tysiąc małych, Dowodem tego jest chociażby przymus tworzenia w wielu krajach (i w Polsce) specjalnych funduszów gwarancyjnych dla wkładów w małych instytucjach. Pozatem trzeba tu odróżniać rodzaje i przyczyny niepokoju; inne są oczywiście skutki braku zaufania np. do waluty, inne do danej instytucji. Inaczej wypadną skutki runu, gdy instytucja lokuje wkłady w gwarantowanych papierach procentowych (jak np. P. K. O.), które można stosunkowa łatwo upłynnić, a inaczej gdy wkłady są ulokowane np. w pożyczkach terminowych, lub akcjach niewypłacalnych przedsiębiorstw.

Z tych względów wydaje nam się, że obawy prof. Tennenbauma co do przyszłej roli P. K. O. są płonne i nieaktualne.

Jan Czadankiewicz.

ŚWIATOPOGLĄD EMERYTALNY

Termin powyższy stworzony — o ile mnie pamięć nie myli — przez ideologów deflacji, został ukuty z dwuch powodów: primo — chodziło o zaakcentowanie, jak niebezpiecznym dla sił żywotnych, dla dynamiki społeczeństwa jest mechaniczny, automatyczny sposób zabezpieczania dobrobytu, usypiający prężność ideową, wysiłek twórczy i zapobiegliwość danej jednostki, a secundo — chciano zwrócić uwagę na skutki budżetowe, jakie pociąga za sobą wypłacanie emerytur i zaopatrzeń. W swych rozważaniach chciałbym jednak słowom: Światopogląd emerytalny nadać sens bezpośredni, odnoszący się poprostu do znaczenia i do rozwiązania budżetowego i społecznego kwestji emerytur.

Zaopatrzenia — zacznę od szerszego terminu — obejmują tak emerytury, jako takie, jak i renty inwalidzkie, pensje orderowe i t. p. Ich ciężar budżetowy w najlepszym (dla Skarbu Państwa) roku 1928/29 wynosił 279 miljonów zł., poczem wzrósł do 322 milj. (1930/31 r.) i odtąd stopniowo maleje, aż w r. budż, 1934/35 schodzi do sumy 267 milj. zł.; na r. 1935/36 preliminowano 256 milj., jednakże faktycznie wydatkowano 276 milj. zł. W r. budż. 1936/37 państwo na zaopatrzenie przeznacza 261 milj. zł. (12% budżetu).

Większą część wymienionych sum stanowią emerytury „sensu stricto". W ostatnich trzech latach kształtowały się one w sposób następujący:

1933/34 r.	154	milj. zł.
1934/35 r.	161	„ „
1935/36 r.	172	„ „

Konsekwencją wzrostu tej ważkiej pozycji budżetowej (w r. b. 1935/36 wynosiła ona 8% globalnej sumy wydatków skarbowych) był dekret z 22 listopada 1935 r., m. in. zmniejszający o ¼ emerytury z tytułu wysługi w państwach zaborczych, dzięki czemu na r. b. 1936/37 emerytury przewidziano w kwocie 161 milj. zł. (mniej od zeszłorocznych o 7%).

Kto korzysta z emerytur? Preliminarz budżetowy na r. b. 1936/37 (str. 407 i 409) wymienia niespełna 90.000 osób, z czego na emerytów cywilnych przypada 71.000, a na wojskowych 19.000 wzgl. na emerytów ze służby w urzędach (armjach) b. państw zaborczych — 13.000, a na emerytów „własnych" (chociażby tylko 1 rok byli na służbie polskiej) — 77.000. W cyfrach tych mieszczą się oprócz emerytowanych urzędników (wojskowych) również i wdowy oraz sieroty. Przeciętna miesięczna wysokość zaopatrzenia emerytalnego wynosi 190 zł. dla „cywila" i 210 zł. dla wojskowego; dla wdów i sierot przeciętne te są znacznie niższe.

Nie ulega wątpliwości, że ciężar utrzymania tej wielkiej masy jest dla Skarbu Państwa bynajmniej nie mały. Proszę obliczyć: 90.000 emerytów stanowi przeszło ⅓ ogólnej sumy pracowników, czynnych w administracji państwowej (łącznie .. oficerami i podoficerami zawodowymi, policją, sądownictwem i nauczycielstwem); emerytów cywilnych mamy dosłownie tylu, ilu czynnych urzędników (bez grup, wymienionych wyżej) liczy dzisiaj administracja państwowa. Ponadto trzeba zważyć, iż 160 milj. zł. na emerytury stanowi tyleż, co wydatki na Ministerstwa: Skarbu oraz Przemysłu i Handlu, razem wzięte. Wreszcie nie zapominajmy, że monopole, lasy, kolej i poczta wypłacić mają w r. b. 1936/37 ponad 120 milj. zł. z tytułu emerytur swoich własnych pracowników.

Nadmierny (jak się zdaje) ciężar emerytur i rent wypływa stąd, że stanowi on część opancerzoną budżetu i, relatywnie biorąc, rośnie wraz ze spadkiem sumy globalnej tego ostatniego. Na to jednak, rady niema. To, co zrobiono dotychczas, aby o 7% zmniejszyć ów ciężar, nie jest pomyślane zupełnie sprawiedliwie, skoro zakwestjonowano kilkudziesięciu tysiącom obywateli ich prawa nabyte, przyczem zło polega nie na tem, że obcięto emerytury, lecz na tem, iż podważono zasadę, iż $2 \times 2 = 4$, t. zn. iż rok służby ma 12, a nie 9 miesięcy. Naruszenie zaś praw nabytych, aczkolwiek cel i w danym wypadku mógł uświęcać środki, jest z państwowo-społecznego punktu widzenia napewno — minusem.

Co będzie dalej? — Będzie niewątpliwie jeszcze gorzej. O ile bowiem ilość emerytów ze służby zaborczej maleje (w r. b. 1936/37 w porównaniu z r. ub.

1935/36 o 4% w grupie cywilnej, a o 2% w grupie wojskowej), o tyle ilość emerytów polsko-zaborczych wzrasta (cywilnych o 7%, wojskowych o 8%). Odpowiedzią na to jest zniżka uposażeń emerytalnych na jednostkę, zmuszająca emerytów do „emigracji" na prowincję, gdzie za 190 — 200 zł. miesięcznie można żyć przyzwoicie, kulturalnie i t. p. Ale, doprawdy, dalsze zniżki są tutaj już nader mało realne, chyba, żeby się chciało wszystkich emerytów — wydziedziczyć. Wątpię jednak, by znalazł się w Polsce taki rząd, któryby emerytów chciał wyprowadzić na skałę Tarpejską...

Przyrost liczby emerytów trwa i jest nieunikniony. Powszechnie znany artykuł p. W. Jastrzębowskiego („Przestarzałe maszyny") wskazuje na konieczność odmłodzenia aparatu urzędniczego, ale to pociągnie za sobą zwiększenie emerytur. Błędne koło...

A to jeszcze nie wszystko. Przecież istnieje problem emerytur tych wszystkich, którym się dzisiaj nie śni, że kiedyś, po wielu latach pracy, zostaną spensjonowani. Wiem, że mówiąc o tem, narażam się na wymyślania, iż to jest ideologja „życia ułatwionego", że to jest właśnie „światopogląd emerytalny". Mój Boże! Jakby to było dobrze, gdybyśmy takich zmartwień nie mieli. Ale cóż, „bywają w życiu takie chwile...", „gdy się człowiek robi starszy..." — a trzeba jakoś żyć. A tu pracy już nie dadzą. I słusznie: niech młodsi przychodzą. Jeżeli więc istnieje (może niepotrzebnie?) system emerytur prywatnych, jeżeli ex-ministrowie też coś nie coś dostają, to niby dlaczego wysłużony kancelista lub podoficer zawodowy ma iść na żebry?

Rozumiem: wpadam w przesadę. Bez przesady jednak mogę powiedzieć, iż musimy się zdecydować wreszcie na stworzenie stałego państwowego funduszu emerytalnego. Fundusz taki otrzymywałby składki miesięczne tak od pracowników, jak od emerytów i w granicach swej samowystarczalności, aby Skarbu Państwa nie obciążać a podatników nie denerwować, wypłacałby odprawy i emerytury. Lokując swe rezerwy w papierach wartościowych, przekazywałby ów fundusz dodatkowe środki na cele, które już nie raz jeden kazały Skarbowi Państwa rozpisywać pożyczki wewnętrzne. W skład rady nadzorczej czy innej tego typu instytucji powinni wchodzić przedstawiciele pracowników państwowych, aby można było powiedzieć: „nic o nas bez nas". Strona moralno-społeczna tego wymaga.

Możnaby wynaleść i odmienne metody, np. wprowadzając przymus ubezpieczenia na życie w P. K. O. lub tworząc dobrowolną lub przymusową instytucję wzajemnych ubezpieczeń na życie. W żadnym jednak razie nie należy wysuwać drażniących pomysłów, w myśl których — jak czytamy — emeryturę można będzie otrzymać dopiero po osiągnięciu 60 wzgl. 65 lat życia, coby oznaczało, że nawet 18 lat pracy w Niepodległej Polsce nie gra roli, gra ją natomiast wiek pracownika, nb. obliczony zbyt wysoko (zob. cytowany artykuł W. Jastrzębowskiego). Zagadnienie emerytalne powinno być rozwiązane w sposób — że tak powiem — skromny ale grzeczny. Dotychczas było odwrotnie.

k. b.

NIE WOLNO TRACIĆ CZASU

Współczesna epoka jest epoką nietylko walki o wolność polityczną, ale również walki o pracę. Walka o pracę, jak każda inna zna swoją ofenzywę i defenzywę. Polska, jako kraj gospodarczo stosunkowo słabo rozwinięty, może prowadzić tylko walkę defenzywną. Tembardziej musi to być walka energiczna.

Walka o pracę polega nietylko na tem, by zdobyć dodatkowe możliwości pracy dla siebie samego, lecz również na tem, by przeciwnikowi utrudnić zdobycie pracy. Najsilniejsze tarcia na terenie walki o pracę z natury rzeczy istnieją i istnieć muszą, między Polską i Niemcami. Niemcy, wskutek swojej niezdrowej straktury osiedlenia oraz podziału zawodowego, jak i wskutek wielkiej gęstości zaludnienia zazdrośnie patrzeć muszą na wszelki rozwój krajów sąsiednich, który pracę ich jako dostawców może uczynić zbędną, albo też który z pracą ich mógłby konkurować na rynkach trzecich. Jesteśmy nieustannnie pod wpływem dążeń niemieckich, by zahamować rozwój takich właśnie działów gospodarczych w Polsce. Usiłowania hamujące spotykamy zarówno w polityce przemysłu, będącego pod wpływem niemieckim, jak i w polityce kredytowej oraz w innych przejawach.

Polska polityka oraz opinja publiczna jeszcze w niedostatecznym stopniu oswoiła się z koniecznością zwracania uwagi na ten odcinek życia i konieczność sprawnego wykorzystywania wszelkich okazyj oswobodzenia się z narzuconych nam pętów i hamulców.

W chwili bieżącej stoimy przed zagadnieniem bardzo wielkiej wagi, którego pomyślne rozwiązanie zależy wyłącznie od naszej własnej sprawności i energji oraz szybkiego działania.

Mam na myśli kwestję uruchomienia dla Polski polskich kapitałów i wartości majątkowych, zatrzymanych przez Niemcy. Wartość tych sum urosła już do blisko 300.000.000 zł. Znaczenie tej sprawy nie ogranicza się do wymienionej dopiero co kwoty i sięga daleko poza sprawy czysto gospodarcze. Dla uświadomienia sobie całkowitego znaczenia tej sprawy, musimy wyjaśnić, że Niemcy dlatego muszą i chcą zwlekać z załatwieniem tej sprawy, że dzięki niewypłacaniu Polsce dewiz na 300.000.000 zł. mogą sprowadzać surowców z zagranicy więcej o 300.000.000 zł., aniżeliby to było możliwe po zaspokojeniu słusznych roszczeń Polski. Sprowadzenie surowców z zagranicy potrzebne jest im dla celów zbrojeniowych, gdyż na podstawie tych surowców materjały zbrojeniowe ,lub pogotowie wojenne mogą być zwiększone conajmniej o 600.000.000 zł. po odpowiednim przerobie tychże surowców na towary gotowe. Jeżeli Niemcy dzięki niespłaceniu polskich należności i roszczeń mogą zwiększyć swoje, materjałowe pogotowie wojenne o 600.000.000 zł., a Polska na skutek nieodzyskania tych sum nie może w tej samej proporcji zwiększyć własnego wojennego pogotowia materjalnego, Polska jest słabszą pod względem tego pogotowia o 1.200.000.000 zł.

Gdybyśmy w sposób szybki i energiczny spraw tych nie chcieli załatwić możnaby to w skutkach porównać ze skreśleniem na jeden rok całego budżetu wojskowego Polski. Objekt o jaki się zatem rozchodzi jest objektem zupełnie pierwszorzędnego znaczenia, znaczenia tem większego, że obrona narodowa Pol-

ski odczuwa brak kapitałów na zaspokojenie jej najskromniejszych potrzeb.

Opinja publiczna, a poniekąd częściowo i oficjalna sprawami temi interesuje się dlatego tak mało, że uważa za rzecz technicznie niewykonalną ściągnięcie tych należności i pretensyj, jeżeli Niemcy sami się na to nie zgodzą. Wiadomem jest, że w Niemczech podobnych pretensyj i należności innych krajów zagranicznych jest ponad 5 miljardów marek i że inne kraje zagadnienia tego nie umiały, a może nie chciały lub nie potrzebowały rozwiązać. Zapomina się że te inne kraje, które mają podobne należności w Niemczech, nie cierpią bynajmniej na brak kapitałów, że mają ich nawet poważny nadmiar i eksportują je, że obrona narodowa tych krajów nie jest hamowana w swoim rozwoju brakiem funduszy. Już to samo obala możliwość powoływania się na analogję i możliwość rozgrzeszenia braku energji z naszej strony. Jest jednak jeszcze inny motyw, który stawia Polskę w specjalne położenie, mianowicie motyw ten, że Polska posiada możność wyegzekwowania swych pretensyj i należności, podczas gdy tamte kraje możności takiej naogół nie posiadają.

Układ stosunków przypadkowo jest bowiem taki, że Niemcy w Polsce posiadają znacznie większe tytuły do własności, aniżeli Poska w Niemczech, że Niemcy zablokowali polskie tytuły własności, ale Polska niemieckich tytułów dotychczas nie krępuje w swobodzie dyspozycji. Mamy więc w ręku zastaw, który w każdej chwili zależnie od jednostronnej polskiej decyzji, może być użytkowany na wyrównanie szans w stworzeniu materjałowego pogotowia obrony narodowej. Tytuły własności jakie posiadają Niemcy w Polsce są do tego zupełnie swoistego charakteru. Część tych tytułów to własność przemysłowa, silnie bardzo związana z przemysłem potrzebnym dla obrony krajowej. Część tych tytułów — to prawa wierzycielskie, związane z wysiłkami niemieckiemi utrzymania irydenty przez finansowanie różnych majątków ziemskich i przemysłowych w rękach zaufanych, a leżących na szlaku ewent. akcyj wojennych. Cęść tych tytułów — to prawa patentowe, w małym stopniu tylko ustanowione w celach wykonywania przemysłu w Polsce, w większym stopniu ustanowione po to, by dany przemysł w Polsce nie mógł się rozwinąć. Objęcie wszystkich tych tytułów własności niemieckiej wzamian za zatrzymane tytuły polskie w Niemczech, posiadałoby zatem dla Polski znaczenie pełnego wyrównania szkód i strat wyrządzonych nam przez posunięcia niemieckie. Nie mamy powodu wdawać się w grę przewlekania tych spraw narzucaną nam przez p. Schachta. Mamy wszelki powód śpieszyć się.

Z punktu widzenia prawnego zajęcie wspomnianych zastawów nie byłoby nawet w części tak drażliwem, jak fakt, że Niemcy zablokowali nasze tytuły własności. Nie zabieraliśmy bowiem Niemcom niczego, nie umniejszaliśmy w niczem ich stanu posiadania, ani ich praw, tak jak to Niemcy zrobili z własnością polską. Pokrylibyśmy tylko poniesione szkody i straty. Obywatele niemieccy mogliby przejąć polski stan posiadania w Niemczech w pełnej wartości utraty praw na terenie Polski 100 za 100, a nie w jakimś tylko ułamku, jak to proponują panowie Schacht i inne decydujące czynniki Niemiec obywatelom polskim. Przywrócilibyśmy moc obowiązującą słusznej zasady, że każdy kraj powinien do świadczeń na rzecz swoich zbrojeń, pociągnąć przedtem własnych obywateli zanim sięga po mienie obywateli państw innych. Jest to zasada najprymitywniejszej sprawiedliwości i słuszności, której nikt nie może kwestjonować i która tembardziej nie może zaszkodzić dobrym stosunkom polsko - niemieckim, skoro Niemcy nie obawiają się, że zaszkodzi tym stosunkom jednostronne zablokowanie polskich tytułów własności. Na stosowanie tej zasady na potrzeba być nawet mocarstwem.

Techniczne rozwiązanie tej sprawy nie nasuwa trudności. Trzeba stworzyć instytucję, która ułatwi wymianę tytułów własności polskiej w Niemczech na tytuły własności niemieckiej w Polsce. Trzeba na podstawie dekretu Prezydenta Rzplitej, ze stycznia r. b. o ochronie państwa i mienia obywateli polskich zagranicą, wydać rozporządzenie, że kto został przez przepisy zagraniczne poszkodowany w swoich prawach własności w sposób gorszy aniżeli poszkodowani są obywatele zagraniczni przez przepisy polskie, ma prawo poszukiwania swoich szkód i strat oraz wartości substancji na mieniu i prawach obywateli tych państw, którzy traktują obywateli polskich gorzej aniżeli Polska ich obywateli.

Na to, by rzeczy te zostały wprowadzone w czyn potrzeba zaledwie kilku tygodni, ale przedewszystkiem potrzeba by opinja społeczna i oficjalna zrozumiały, że w okresie walki o wolność polityczną oraz walki o pracę, obowiązuje hasło „Carpe diem".

W danym wypadku, np. przez dewaluację marki niemieckiej lub przez wydanie nowych jakichś przepisów niemieckich możemy stracić 100 i więcej miljonów złotych. — Jesteśmy za ubodzy by tracić czas.

Władysław Diamand.

PERSPEKTYWY

Fakt pewnej poprawy w rolnictwie nie ulega wątpliwości. Oczywiście ogólna poprawa nie rozkłada się równomiernie ani na typy gospodarstw, występując wyraźnie w gospodarstwach o kierunku hodowlanym, a więc w drobnej własności, ani też nie wyklucza różnic regjonalnych, ostro w tym roku zaznaczonych (Poznańskie miało jednocześnie suszę i spadek pogłowia świńskiego, przy dobrym urodzaju na południu i zwiększeniu pogłowia na wschodzie Polski). Dochód z pracy nie wykazał równie silnego wzrostu, jak dochód ze sprzedaży artykułów rolnych. Przypomnieć należy, że według danych Instytutu Puławskiego spadek przychodu z pracy był silniejszy niż spadek przychodów ze sprzedaży.

Uzyskane zmiany w położeniu rolnictwa są niewątpliwie sukcesem poważnym, a tem cenniejszym, że w znacznej mierze osiągniętym przez działanie świadome i wielostronne. Ale stopień tych zmian nie jest dość znaczny, by miały być poddane rewizji cele polityki gospodarczej na odcinku rolnictwa. Wzmiankowany wyżej odmienny charakter krzywej przychodów z pracy niż przychodów ze sprzedaży, wskazuje, że w gospodarstwach najdrobniejszych, najuboższych, tych. które nic oprócz swej pracy na sprzedaż nie mają, kryzys odbił się najsilniej. Może to nasuwać potrzebę wzmocnienia akcentu na sprawę zatrudnienia w rolnictwie, zasadniczych celów jednak oczywiście nie zmienia. Te same co dawniej przesłanki gospodarcze i społeczne czynią zwiększenie udziału rolnictwa w dochodzie społecznym zadaniem nadal w pełni aktualnem.

Na jakiej drodze? Tu rozpoczyna się właściwy problem. Zdajemy sobie dobrze sprawę, że ostre załamanie przychodów rolnictwa było zjawiskiem nietylko konjunkturalnem, w tym sensie, że w poprzednich fazach konjunktury nagromadził się cały szereg czynników, działających równolegle do czynników historycznych, działających trwale na niekorzyść udziału rolnictwa w dochodzie. Teoretycznie przed polityką zmierzającą do zwiększenia dochodu rolnictwa stoją dwie drogi: usuwanie czynników, niekorzystnych dla rolnictwa bądź też stwarzanie dla nich przeciwwagi przez takie czy inne nowe posunięcie polityczno-gospodarcze. Polityka nasza poszła raczej po tej ostatniej drodze. Zamiast np. rewidować taryfę celną czy głębiej obniżać ceny kartelowe, dążyliśmy do zwyżki cen rolnych poprzez premje eksportowe. Ulgi podatkowe zastosowano w wąskim zakresie, idąc raczej na dostarczenie kredytów na finansowanie zbiorów. Do typu zarządzeń likwidujących obciążenia można zaliczyć właściwie tylko akcję finansowo-rolną, akcję zresztą o przewadze momentów moratoryjnych.

Jakie istnieją możliwości kontynuowania takiego kierunku? Nikt rozsądny nie może wierzyć, ażeby w ramach polityki naprawdę zmierzającej do utrzymania równowagi budżetowej znalazło się miejsce na podwyższenie funduszów na premjowanie wywozu rolnego. Odwrotnie raczej, sądzić można, że z każdym rokiem z tego kosztownego i połowicznie tylko skutecznego środka wycofywać się będziemy. Doświadczenia tegoroczne, kiedy spadek ceny, płaconej producentowi za kwintal żyta okazał się kilkakrotnie mniejszy od oszczędności uzyskanej w zakresie dopłat Skarbu do eksportu, stanowi w tym kierunku silną zachętę.

Ulgi podatkowe są równie pożądane jak trudne. Doświadczenie zeszłego roku wskazało, że np. zawieszenie egzekucji w okresie podatkowym dało przesunięcie podaży o kilka tygodni. W rezultacie można było uniknąć katastrofalnego pożniwnego spadku cen bez jakichkolwiek strat dla Skarbu, gdyż w dalszym okresie zdolność płatnicza podatkowa wsi znacznie się poprawiła. Szczególnie palącem zagadnieniem na odcinku podatkowym jest sprawa najmniejszych gospodarstw chłopskich. Nasz system podatkowy oparty na wsi o podatek gruntowy, stanowiący nietylko największą daninę państwową, ale i podstawę wymiaru podatków samorządowych, sprawia, że z obciążeniem podatkowem mamy na wsi do czynienia już wtedy, zanim mamy do czynienia z jakimkolwiek dającym się chwytać na cele publiczne przychodem. Wynika stąd postulat całkowitego odciążenia podatkowego drobnych, nie samowystarczalnych gospodarstw, tych gospodarstw, w których dosłownie każda złotówka podatku stanowi bezpośrednie, natychmiastowe zmniejszenie konsumcji.

Oczywiście dla pewnej grupy gospodarstw sprawa ta jest niezmiernie ważna, ważna jest też dla całości od strony zagadnienia spożycia wsi. W globalnych sumach nie może tu jednak chodzić o wielkie rzeczy przedewszystkiem dlatego, że obciążenie wsi jest w równej mierze obciążeniem na rzecz samorządów, jak na rzecz Państwa, a w dziedzinie budżetów samorządowych bez jakiejś zasadniczej, głębokiej zmiany ustroju samorządowego o zmniejszeniu przychodów niesposób myśleć. Niemożna też oczekiwać odciążenia od strony zagadnienia obsługi długów. Może ktoś uważać, sprawę zadłużenia rolnictwa za niedostatecznie uregulowaną w zasadzie. Doraźnie pod kątem bieżącej obsługi możliwe są jednak chyba tylko bardzo małe retusze, skoro zakres moratoryjnych posunięć jest już dziś szeroki.

Od strony działań interwencyjnych na rzecz rolnictwa można oczekiwać jedynie retuszów, uzupełnień, a nie jakichś poważniejszych zmian. Trudno byłoby liczyć również, że najbliższy okres przyniesie poważniejsze zmiany w kierunku usuwania czynników, działających na niekorzyść rolnictwa. Mając nadzieję, że najbliższe lata przyniosą poważniejsze zmiany strukturalne, dla rolnictwa korzystne, trudno byłoby jednak sądzić, że najbliższe miesiące przyniosą powiedzmy rewizję taryfy celnej, albo obniżkę cen kartelowych. Na czem więc można byłoby opierać nadzieję, że zaznaczający się w roku bieżącym proces poprawy w rolnictwie będzie trwał dalej?

Otóż stwierdzić należy, że już w tych zmianach, jakie dokonały się w roku bieżącym, olbrzymia rola przypadła czynnikowi, stojącemu poza nawiasem działań, obejmowanych nazwą polityki rolniczej. Głównem źródłem zwiększenia przychodów rolnictwa była zwyżka cen artykułów hodowlanych, a przedewszystkiem trzody chlewnej. Zwyżka przy dość wysokim poziomie produkcji, zwyżka nie osiągnięta przez zmniejszenie produkcji, lecz przez rozszerzenie rynku a ściślej mówiąc przez zwiększenie zdolności nabywczej tego rynku. Bardzo szczęśliwie i trafnie sytuację tegoroczną charakteryzuje ukuty przez kogoś zwrot, że wysiłki w kierunku zwyżki cen rolnych mogły dlatego dać wynik, że konsument tę zwyżkę wytrzymał. Nawet lekki wzrost zatrudnienia i zarobków, nawet lekkie zwiększenie robót inwestycyjnych, stały się bodźcem dostatecznym, by zahamować spadek przychodów rolnictwa.

Dziś niewątpliwie punkt ciężkości zagadnienia udziału rolnictwa w dochodzie społecznym leży w płaszczyźnie zagadnienia wielkości tego całego dochodu. Tylko gospodarka związana umożliwia wykrajanie dla danej gałęzi produkcji większej części dochodu społecznego przy zniżkującym dochodzie. W okresie kurczenia się dochodu gospodarka rolna jako gospodarka niezwiązana, skazana jest na silniejszy od przeciętnego spadek dochodowości. Przy wzroście względnej równowagi, istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, iż równocześnie ze wzrostem całości dochodu będzie rósł udział przypadający niezwiązanej części gospodarki.

Polityka gospodarcza Polski dążyła do stwarzania na odcinku rolnictwa „konjunktury szczególnej". Pragnęlibyśmy, nie usuwając radykalnie elementów związania, zabezpieczyć rolnictwu nieco chociażby większy udział w dochodzie, pomimo jego zniżki. Wynik — zahamowanie spadku, — osiągnięty został niezmiernie późno, bo dopiero w roku bieżącym. I jednocześnie z osiągnięciem tego wyniku staje się jasnem, że istotnych zmian w sytuacji rolnictwa oczekiwać można nie na drodze wycinania większej transzy w znikomym dochodzie, lecz na drodze zwiększenia całości dochodu, które automatycznie pociągnie za sobą zwiększenie transzy, rolnictwu przypadającej. W ten sposób zagadnienie przychodu rolnictwa staje się dziś niemal całkowicie uzależnione od ogólnej polityki konjunkturalnej, w stosunku do której t. zw. polityka rolnicza może być tylko uzupełnieniem.

t. g.

NOTATKI

NIEPOLITYCZNA POLITYKA

Zdarzają się ludzie nie przestrzegający absolutnie form uprzejmości towarzyskiej — z zasady. Każdemu zapewne zdarza się znaleźć w sytuacji, z której jedynem wyjściem jest pewien stopień nieuprzejmości. Jest jeszcze jedna możliwa ewentualność: ktoś chce być uprzejmy, ale mu się to nie udaje. Nie pomaga, nie wystarcza dobra wola.

Okazją do tych towarzyskich refleksyj jest... dwutygodnik Polityka Gospodarcza. Oczywiście nie jako całość. Całości nie zamierzamy omawiać. Nie chcemy naśladować właściwego Polityce Gospodarczej obyczaju, apodyktycznego, belferskiego (profesorowie nagół uważają problemy gospodarcze za bardziej sporne aniżeli belfrzy) stawiania stopni i rozdawania laurek. Nie chcemy także naśladować Polityki Gospodarczej wtedy, kiedy imputuje nam słabe nerwy i dlatego nie będziemy zastanawiali się z czego właściwie wynika agresywny ton tego pisma jako całości. Obchodzi nas tylko polemika tego pisma z naszymi współpracownikami i ostatnio z redakcyjnym artykulem naszego pisma.

Z żalem musimy stwierdzić, że chociaż polemika ta toczy się na łamach Polityki Gospodarczej w cudzysłowie i dotyczy zagadnień polityki gospodarczej bez cudzysłowu, to tem niemniej jest ona niepolityczna — w tem znaczeniu, jakie temu słowu nadaje np. Sienkiewicz w Trylogji. Nie kwestjonujemy zamiarów. Ale tem jaskrawszy jest rezultat. Zamiar pozostaje bowiem zamiarem, a zwycięża — powiedzmy — temperament. W rezultacie zdarza się, że autor, którego artykuł zamieszczony jest w danym numerze łódzkiego dwutygodnika zostaje — w tymże numerze — o kilka stron dalej — „zjechany" co się zowie. Wielki wysiłek uprzejmości nieudanej znaleść można było w artykule p. t. „Lekarz znachorem". Wysiłek tem cenniejszy, że odbijający od „bezlistosnych" uwag poświęconych w tymże numerze politykom tak dużej miary, jak obecny Vice-Premjer i prof. Tennenbaum. Cóż z tego, kiedy ku końcowi artykuliku Polityka Gospodarcza, w swoisty sposób pojmując komplementy, orzekła, (na podstawie „intuicji") że gdyby krytykowany przez nią publicysta ponosił odpowiedzialność za decyzje polityczno - gospodarcze, to z pewnością nie okazałby się znachorem (jak w swym artykule), lecz lekarzem. Innemi słowy anonimowy (jak zwykle) publicysta Polityki Gospodarczej chcąc kogoś obdarzyć komplementem... zrobił mu najpoważniejszy zarzut, jaki szanującemu się publicyście zrobić można: zarzut niedostatecznego poczucia odpowiedzialności. Ostatni numer Polityki Gospodarczej przynosi nowe poślizgnięcie towarzyskie. Polityka Gospodarcza opatrując nas nazwą „poważnego czasopisma" określa stanowisko jakie zajęliśmy w sprawie reglamentacji dewiz jako „słabe nerwy", „potężny błąd", „oryginalną tezę, przeczącą elementarzowi ekonomji".

Ta forma nie stanowi zachęty do polemiki z Polityką Gospodarczą. Niestety jednak sprawa, która stała się przedmiotem uwag łódzkiego czasopisma jest zbyt ważna, ażeby ją pozostawić bez kilku przynajmniej wyjaśnień.

1. Pisaliśmy: „można twierdzić, że w zasadzie istnieje serja działań, polityczno - gospodarczych, które mogłyby uchylić potrzebę stosowania reglamentacji dewiz... Praktycznie znalezienie jakiejkolwiek drogi dającej w obecnem położeniu możliwość pominięcia reglamentacji dewiz jest niezmiernie trudna, jeśli nie mielibyśmy się pogodzić ze stabilizacją na obecnym poziomie życia gospodarczego".

Polityka Gospodarcza pierwsze zdanie w swej polemice opuszcza, drugie natomiast interpretuje jako nasze twierdzenie, „jakoby przy wolności dewizowej obecny poziom życia gospodarczego musiał być trwale stabilizowany".

Zniekształcenie cytaty musiało zniekształcić interpretację. Pogląd wyrażony w wstępnym artykule poprzedniego numeru Gospodarki daje się rozwinąć w kilka prostych tez. A więc przedewszystkiem niewątpliwie w założeniu istnieje kilka dróg przywracania równowagi w dziedzinie transferu bez uciekania się do ograniczeń dewizowych. Można uzyskać pożyczkę zagraniczną, można powstrzymać tezauryzację i spowodować detezauryzację, można zawiesić obsługę długów zagranicznych bez ograniczeń dewizowych, a można idąc śladem tego, co robiono w latach poprzednich, silniej skrępować import. Można też próbować szczęścia na drodze deflacji kredytowej, powodując zniżkę cen, i zmniejszając zapotrzebowanie na import. Szereg powyższych środków jest obosieczny. Inne — pożyczka zagraniczna — w małej tylko mierze zależą od nas. Inne wreszcie dają się stosować tylko w pewnym kompleksie zarządzeń lub w pewnym układzie stosunków. Są takie, których wartości praktycznej nie można przesądzić na zasadzie czysto teoretycznego wywodu. I tak np. dewaluacja propagowana od niedawna przez dwa pisma (w tym rzędzie Politykę gospodarczą) jako środek detezauryzacji, w pewnych warunkach może istotnie w ten sposób działać. Na tej możliwości opierał w znacznej mierze swoje poglądy prof. Krzyżanowski, przywiązujący tak duże znaczenie do ruchów tezauryzacyjnych jako punktu wyjścia procesów konjunkturalnych. Ale czy tak samo przedstawia się sprawa w praktyce, w obecnych warunkach? że w tej chwili nietylko lęk przed dewaluacją jest źródłem tezauryzacji na świecie, to pewne — aczkolwiek rola tej obawy jest olbrzymia. że w tych warunkach liczenie na detezauryzację po dewaluacji może się łatwo okazać zawodne, to także jasne. że dewaluacja jeśli nie miałaby być „zmarnowana" przez silną zwyżkę cen musiałaby się łączyć z szeregiem niezmiernie trudnych, a więc niezawsze życiowo prawdopodobnych decyzji, to także chyba jest niepozbawione słuszności. Ponadto nie jest pewne, że skutki dewaluacji w postaci detezauryzacji i w płaszczyźnie handlu zagranicznego będą dość silne i szybkie, aby przy niskich rezerwach dewizowych można się było również i w wypadku dewaluacji obyć bez reglamentacji dewiz. Oto mały przykład — szkicowy tylko — dlaczego w naszem przekonaniu nie można z łatwą kategorycznością twierdzić, że wolność dewizową bezwzględnie dałoby się utrzymać. Oto wyjaśnienie na jednym z możliwych przykładów, dlaczego nie uważaliśmy za możliwe, zwłaszcza w artykule redakcyj-

nym, obciążającym odpowiedzialnością nie jednostkę, nie anonim, lecz całą grupę osób, powiedzieć cośkolwiek innego jak to, co powiedzieliśmy. To znaczy powiedzieć, że praktycznie znalezienie drogi pozwalającej pominąć reglimentację dewiz byłoby niezmiernie trudne. Rzecz prosta, ta trudność zmniejszyłaby się znacznie, gdybyśmy powiedzieli sobie, że godzimy się na niski poziom wytwórczości, że stawiamy sobie łatwiejsze, prostsze zadanie do rozwiązania. Bowiem łatwiej jest prowadzić politykę walutową z troską o samą walutę tylko, niż z troską jednocześnie o walutę i o rozwój życia gospodarczego.

2. Polityka Gospodarcza kwestjonuje twierdzenie nasze, że wolność dewizowa stanowiła przywilej dla zagranicznego wierzyciela, wskazując na to, że wierzyciel naszego przemysłu ponosił ryzyko jego wypłacalności, wierzyciel naszego Państwa stracił na spadku kursu niektórych walut itp., co się zaś tyczy wierzycieli z tytułu dostaw towarowych, to zamiast motywowania swej tezy Polityka Gospodarcza porusza inny temat. To, że ktoś stracił nie dowodzi jeszcze, że nie był uprzywilejowany. Można np. doskonale otrzymać zwolnienie z podatków, a zbankrutować. Połączenie kwestji spadku obcych walut z uprzywilejowaniem w Polsce, nie może napotkać na żadną replikę. Rozbraja. O cóż naprawdę chodzi? Gdyby wolność dewizowa w Polsce odbywała się w warunkach idealnej swobody, bez jakichkolwiek interwencjonistycznych wysiłków dla sprostania potrzebom wynikającym z tej wolności, to istotnie nie byłoby przywileju wierzyciela zagranicznego. W rzeczywistości jednak, na co wskazaliśmy w artykule, było wręcz odmiennie. Robiliśmy (słusznie czy niesłusznie, nie o to chodzi), szereg wysiłków dla sprostania obsłudze długu zagranicznego. Tolerowaliśmy dumping, premjowaliśmy wywóz, ograniczali przywóz, itd. itd. Powoływaliśmy zatem do ofiar na rzecz wierzyciela zagranicznego, podczas kiedy szereg naszych partnerów międzynarodowych prawnie uniemożliwiło dokonywanie transferu na naszą rzecz.

3. Trzeci zakwestjonowany przez Politykę Gospodarczą punkt przeczy jakoby elementarzowi ekonomji. Elementarza ekonomji jak wiadomo niema. I niestety być nie może. Elementarz jest czemś niezmiernie prostem, ale ścisłem. Uproszczenia w ekonomji przestają być ścisłe. Ten sam los spotyka miłośnika elementarza z Polityki Gospodarczej. Przeciwstawiając się naszym twierdzeniom twierdzi Polityka, że przy wolności gospodarczej transfer jest tylko wyrazem procesów gospodarczych, a nie ich przyczyną, zaś przy ograniczeniach dewizowych staje się wielkością zależną od... komisji dewizowej. Dowcip jest dobry, wywód gorszy. W elementarzu Polityki Gospodarczej pominięto widocznie raz jeszcze fakt istnienia interwencjonizmu, fakt wysików dla utrzymania transferu. Nasze twierdzenie w przekładzie na język elementarny brzmi tak: Przy wolności dewizowej przekazywaliśmy zagranicę tyle, ile się podobało naszym wierzycielom, naszym dostawcom, naszym krajowym miłośnikom złota, itp. itp. Aby móc tyle przekazywać musieliśmy forsować eksport towarów, których nam samym brak, hamować import towarów, których nam samym brak, zwiększać podatki na premjowanie wywozu, itd. itd. W konsekwencji rozmiary transferu musiały wpływać na rozmiary spożycia, importu, produkcji Przy ograniczeniach dewizowych istnieje możność określenia rozmiarów transferu w zależności od założeń polityki gospodarczej. Oczywiście, i tu jest punclum saliens, możność, której stopień i zakres wykorzystania zależy od okoliczności. Istnieją w każdym razie takie np. możliwości, jak zaproponowanie krajom wierzycielskim zapłaty w towarze, jak zbilansowanie w traktatach handlowych niewidzialnych pozycyj bilansu płatniczego z pozycjami obrotu towarowego. Słowem chociaż niestety istotnie może być trudno pozbyć się takich środków z epoki wolności dewizowej, jak np. reglamentacja towarowa, to jednak istnieją pewne możliwości, tkwiące właśnie w reglamentacji dewizowej, aby sprawę transferu regulować nie kosztem, czy nietylko kosztem wewnętrznego życia gospodarczego, ale drogą „powołania do współudziału" uprzywilejowanego dotychczas wierzyciela.

Cz. Bobrowski

LUDZIE INICJATYWY

„Za siódmą górą, za siódmą rzeką" leży skromne miasto wojewódzkie. Nędzne „kocie łby" zamiast nowoczesnej jezdni, chodniki z połamanych płyt, ścieki wybielone wapnem zastępują kanalizację, domy — to raczej rudery, brak hali targowej, bibljoteki i teatru, urząd wojewódzki rezydujący w pamiątkowym lecz pełnym wilgoci gmachu — oto obraz miasta, które przypadek wskazał i przeznaczył na siedzibę władz II instancji. Każdy przyzna, że pomiędzy rzeczywistym stanem miasta a zadaniem, jakie mu kazano wypełnić, leży przestrzeń rozległa, dystans równy chyba zacofaniu Polski w porównaniu z krajami zachodu Europy.

Poczucie tego dystansu nie dało spać obywatelom szlachetnego miasta. Nie poddając się „kompleksowi niższości", postanowili dogonić Europę i przepaść pomiędzy treścią a formą zasypać. Proszę tylko tego ostatniego słowa nie zrozumieć zbyt dosłownie. O zasypywaniu „glinianek" i „wilczych dołów" mowy być nie może. Byłoby to zbyt małostkowe. Tembardziej o budowie szkół, wodociągów, kanałów, hali targowej lub bibljoteki...

Zbudowano wobec tego gmach Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego. Ale jaki gmach! Warszawa nie ma takiego (istotnie). Kosztował niewiele, ale dokładnie nie wiadomo ile, są co do tego spory: jedni mówią o 7, drudzy o 10 miljonach zł. (miasto liczy niespełna 50.000 mieszkańców).

Powiedzmy, że ta monumentalna budowa, mająca być pomnikiem — pamiątką po inicjatorach, kosztowała tylko 7 milj. zł. I zapytajmy siebie i innych: czy z taką samą łatwością znalezionoby dzisiaj 7.000.000 zł. na 7 różnych a pożytecznych robót po miljonie zł. każda? Nie! Bo zasypane „glinianki" nigdy niczyim nie będą pomnikiem, bo w rurze wodociągowej nie można wmurować tablicy z nazwiskami „ludzi inicjatywy"...

k. b.

JAŁMUŻNICY

Niebywałe zmartwienie ma popularna na gruncie warszawskim organizacja, nosząca nazwę: „Akademicki Związek Sportowy". Jeśli wierzyć informatorowi „Gazety Polskiej" (15.V), tereny sportowe A. Z. S. są zaniedbane, trybuny się walą, bieżnie porastają trawą etc.

Dlaczego o tem piszemy? Z uwagi na konkluzje „Gazety" i na szersze znaczenie omawianej historyjki. „Gazeta" dochodzi bowiem do wniosku, że władze, opiekujące się A. Z. S-em, powinny postarać się o te parę tysięcy złotych i tereny sportowe, których przecież w Warszawie nadmiaru nie mamy, doprowadzić do porządku i używalności. Te kilka tysięcy — zauważcie Sz. Czytelnicy — ma wydobyć „władza", czynnik nadrzędny, byle nie, broń Boże, sama organizacja. Jak czytamy w notatce gazeciarskiej, A. Z. S. liczy 2.500 członków. Prawdopodobnie zdrowych, mocnych sportowców, co to mogą wziąć łopatę do garści i za jednym zamachem zniwelować teren pod bieżnię. Studenci — architekci mają już pewno pojęcie o budowie czy reperacji prymitywnych trybun, a przywiezienie kilkunastu fur ziemi i żużlu napewno żadnemu akademikowi hańby nie przyniesie. A, ostatecznie, jeżeli trzeba będzie zapłacić za czynności, których akademicy podjąć się nie potrafją, to 2,500 członków może się bez trudu złożyć na takąż sumę złotych.

Jest, doprawdy, rzeczą niemoralną, aby wszędzie i zawsze troska o byle głupstwo spadała na barki „władz" i na filantropijne społeczeństwo. Rozpanoszenie się jałmużnictwa i zwalanie trudu na obcych jest nie do pomyślenia w momencie, kiedy tyle frazesów polska młodzież wygłasza o „armji pracy".

z. i.

GOSPODARKA NARODOWA

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA Z O. O.

BILANS ZAMKNIĘCIA
na dzień 31 grudnia 1935 roku.

Kasa	129,31	Wierzyciele	2.767,—
P. K. O.	24,42	Udziały	750,—
Dłużnicy	728,33	Fundusz Zasobowy	933,21
Ruchomości	448,—	Pozostałość zysku z roku 1934	14,10
Sumy przechodnie	150,—		
	1.480,06		4.464,31
Strata	2.984,25		
	4.464,31		4.464,31

Straty i Zyski.

Wydawnictwo	12.376,18	Wpływy z wydawnictwa	16.863,97
Prasa Gospodarcza	491,80	Wpływy z broszur	550,40
Koszty administracyjne	7.440,84		17.384,37
Amortyzacja	59,80	Strata	2.984,25
	20.368,62		20.368,62

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.